

# Podróż w świat historii Polski

---

Jerzy Pilikowski

---

Wydawnictwo WAM

---

Kraków 2010

---

## **Wstęp, czyli o tratwie na rzece czasu**

Przyznam się, że mam problem. Część Czytelników (Wirtualnych Słuchaczy) mojej kolejnej opowieści zapewne brała udział w podróży w świat filozofii i politologii. Ci wytrawni podróżnicy doskonale znają genezę tych ekspedycji wraz z regułami, które nimi rządzą. Nowym adeptom należałoby więc polecić lekturę wstępów do tamtych książek – i od razu przejść do rzeczy. Ale na świecie jest przecież znacznie więcej książek niż ludzi, którym chciałoby się je czytać. Nie można więc nakazywać komuś, kogo akurat interesują dzieje Polski, by szukał książki o filozofii i czytał w niej jakiś wstęp. Żaden normalny człowiek tego nie zrobi (prócz przyszłych badaczy mojej twórczości, ale tych trudno będzie zaliczyć do normalnych ludzi). Powtórzę więc podstawowe zagadnienia w największym skrócie i dodam nowe, już odnoszące się wyłącznie do podróży w świat historii Polski.

Przez ponad ćwierć wieku pracowałem jako nauczyciel historii (choć zakres mojego dydaktycznego „rażenia” obejmował także politologię, europeistykę, sztukę, filozofię i geografję kulturową). Byłem przy tym niepoprawnym miłośnikiem dygresji. Każde bardziej interesujące zagadnienie starałem się ukazać z punktu widzenia różnych nauk humanistycznych, by przekonać słuchaczy, że historia to nie jest spis dat do wkucia na pamięć, lecz zestaw problemów do zrozumienia. Taka postawa powodowała, że ledwie zdążałem z ter-

minową „realizacją materiału”. No cóż: albo się przerabia hasła z programu nauczania, albo się uczy. Chyba jednak wybrałem właściwą drogę. W końcu to za zachętą moich własnych uczniów spisałem te rozważania.

A wiecie dlaczego zamiast dyktować, zadawać i odpytywać (jak na uczciwego belfra przystało) lubiłem trochę niekonwencjonalnie dywagować? Po pierwsze, nie chciałem zanudzić się w pracy. Po drugie, bardzo nieskromnie stwierdzę, że jestem chyba prawdziwym humanistą. Humanista to maniak nauczania. Będzie nauczał nie tylko w szkole lub na uczelni, lecz także gości u cioci na imieninach, kolegów podczas picia wódki, współpasażerów w podróży lub pacjentów siedzących w poczekalni u lekarza. Humanista nie tylko więcej wie, nie tylko głębiej uczestniczy w kulturze, ale także pragnie, by i inni więcej wiedzieli i uczestniczyli we wspólnocie ducha bardziej świadomie. Humanista cierpi, gdy obserwuje, jak jego bliźni (krewni, koledzy, rodacy) są manipulowani przez cynicznych kreatorów opinii. Widzi, że podatność na manipulację bierze się z niewiedzy i stara się obszary ignorancji eliminować. Pracowicie wyjaśnia powikłania dziejów, tłumaczy znaczenia pojęć, prostuje faktograficzne przekłamania, rozwiewa uprzedzenia... A wszystko to czyni bezinteresownie. Gorzej! Jeszcze za to płaci. Śmieją się z niego, nazywają besserwisserem (z niemiecka: lepiej wiedzącym), błagają, by już niczego nie tłumaczył i pozwolił innym pozostać w błogiej nieświadomości faktycznego stanu rzeczy.

Jednak najbardziej fascynującym wyzwaniem była dla mnie konieczność przełamania umysłowej inercji młodych ludzi, zdolnych pojąć zasady matematyki wyższej lub biologii molekularnej, fizyki atomowej i informatyki, a równocześnie przekonanych, że zrozumienie dziejów „tego kraju” jest ponad ich siły. W takiej sytuacji wstępował we mnie duch przekory: zatrzymywałem się przy najbardziej spornych zagadnieniach, uzmysławiałem, że w ogóle są one sporne (choć naucza się ich jako bezdyskusyjnych dogmatów), by wywołać sprzeciw i spowodować umysłowy ferment. Z reguły mi się udawało, gdyż historia jest pasjonująca. Co najwyżej może być źle nauczana. Czasami udawało mi się aż za bardzo. Dochodziły do mnie sygnały z rodzinnych domów moich młodych rozmówców. Wpierw były to z reguły głosy oburzenia: co za herezje się w tej szkole opowiada! Później często następowały słowa uznania: nigdy byśmy nie przypuszczali, że

nasz syn (nasza córka) z własnej woli weźmie do ręki książkę Pawła Jasienicy, Normana Daviesa lub innego autora, który na temat historii nie gędzi, lecz (twórczo i kontrowersyjnie) debatuje.

Nasza podróż będzie właśnie taką debatą. Mój drogi Wirtualny Słuchaczu (Wirtualna Słuchaczko) lub Konwencjonalny Czytelniku (Konwencjonalna Czytelniczko) nie spodziewaj się nadzwyczajnych utrudnień. Nie przewiduję rozważań ogólnych na temat źródeł historycznych i konstruowania na ich podstawie procesu dziejowego, analizy pojęcia faktu i filozoficznego sensu politycznych przemian. Powiem wam w zaufaniu, że jeżeli dość licznie weźmiecie udział w podróży w świat historii Polski, być może wydawca tej książki wyśle nas w podróż w świat historii w ogóle – i wtedy podejmiemy zagadnienia dotyczące historiozofii, historiografii oraz metodologii historii. Nie będę cię także męczyć ujęciem problemowym. Żadne tam takie: terytorium Polski na przestrzeni dziejów, struktury społeczne na tle przeobrażeń gospodarczych, ewolucja modelu administracyjnego w epoce feudalizmu... Będę podróżować tak, jak Pan Bóg przykazał: w porządku chronologicznym, który podkreśla rozgrywanie się historii w czasie.

Czas jest bowiem żywiołem dziejów. Tak jak statki płyną po morzu, tak losy społeczności ludzkich płyną w rzece czasu. Bardzo poetycko to wyszło? Ale niech zostanie, gdyż odarcie tego stwierdzenia z patosu bynajmniej go nie unieważnia. Czas jest okrutnym żywiołem. Jesteście jeszcze młodzi. Ludzie młodzi to tacy, którym się wydaje, że są nieśmiertelni. Dla nieśmiertelnych czas nie istnieje. Ale on niestety istnieje. Przekonacie się o tym wkrótce. Najdalej za jakieś dwadzieścia lat. A to będzie za chwilę. Uwierzcie mi na słowo – i już się do tej chwili przygotowujcie. Sposobem na sprostanie wyzwaniu czasu, który wszystko kwestionuje i bezwzględnie spycha ku nicości, jest pamięć. Pamięć, czyli indywidualna historia każdego (i każdej) z nas: świadomość wzruszeń, osiągnięć i doświadczeń. Te przeżycia wciąż się kumulują i wypełniają przestrzeń za nami, która się wydłuża, stanowiąc przeciwwagę dla pełnej planów i nadziei przestrzeni przed nami, która się nieubłaganie skraca.

W przypadku zbiorowości ludzkich tą pamięcią jest historia. Mówiąc bardziej precyzyjnie: historia jest zapisem zbiorowej pamięci. Albo jeszcze dokładniej: jest nauką badającą ów zapis. Ale mieliśmy nie wnikać w teoretyczne podstawy historii, więc zostaliśmy przy użo-

samieniu jej ze zbiorową pamięcią. Może być to pamięć całej ludzkości (dzieje powszechne), naszego kontynentu lub kręgu kulturowego (historia cywilizacji łacińskiej lub Europy), wreszcie danego narodu. Pragnę przekonać was, że historia narodowa jest „historią pierwszego kontaktu”. Pamięć indywidualna zakotwiczona jest w pamięci rodzinnej, a ta – w narodowej. Nie bez powodu podczas naszej podróży w świat politologii zauważyliśmy, że naród można traktować jako „rodzinę rodzin”.

Historia narodowa jeżeli nie jest wspomnianym powyżej statkiem, to jest przynajmniej tratwą, która wiezie nas wraz z naszą pamięcią przez otchłań czasu. Czym tratwa jest solidniejsza, tym lepiej. Jeżeli ją zubażamy, może się ona okazać tylko belką, której będziemy się rozpaczliwie trzymać w obawie przed zatonięciem. Inni mogą nas łaskawie wciągnąć na swoją tratwę, możemy się też na nią cichaczem wdrapać o własnych siłach – ale na cudzej tratwie zawsze będziemy obcymi. Nasza indywidualna i rodzinna pamięć nie będzie pasować do nieznanym nam reguł. Rodzinna pamięć w ciągu dwóch lub trzech pokoleń dostosuje się do zmienionej sytuacji i nawet wzbogaci nowe środowisko, ale ty osobiście niechybnie zapłacisz za brak troski o własną tratwę nie tylko poczuciem wyobcowania, ale i pomniejszeniem swych szans życiowych. Można uparcie deklamować o zmniejszeniu znaczenia tożsamości narodowej we współczesnym świecie, tym niemniej na każdej tratwie eksponowane role społeczne są zarezerwowane dla swoich. To jest zgodne z genetycznie zakodowanym instynktem, który mamy wspólny z mniej rozumnymi krewnymi w świecie istot żywych, dlatego rodzina i naród, choć dziś uparcie kontestowane, ogłaszane za przestarzałe i zniewalające, są nadal pierwotnymi, naturalnymi i podstawowymi grupami społecznymi. Trzeba więc poszczególne belki naszej narodowej tratwy dobrze spoić więzami pamięci.

To, co powyżej powiedziałem, nie oznacza, że jestem zwolennikiem takiej koncepcji historii narodowej, jaka obowiązywała przez cały XIX wiek i pierwszą połowę XX wieku (od epoki napoleońskiej do końca drugiej wojny światowej). W tamtym czasie historia pełniła rolę rezerwuaru mitów o własnej wielkości pobudzających nacjonalistyczną gorączkę. Historia narodowa była czymś w rodzaju sprawozdania z zawodów, podczas których narody walczą o dominację. Własne przewagi należy więc rozdymać, porażki – pomniejszać, przy-

pisywać sobie zasługi innych, nie przyznawać się do tego, że cokolwiek wartościowego zawdzięcza się innym narodom, nie przepraszać za własne winy, oskarżać innych bez próby zrozumienia ich punktu widzenia. Wszystko w dziejach ludzkości, co zwiększało potęgę naszego narodu, należy uważać za dobre, a wszystko, co tę potęgę mogłoby pomniejszać, należy potępiać. Taka historia była naprawdę niebezpieczna, co pokazały dwie wojny światowe. Nie należy jednak przesadzać w drugą stronę (co w Europie stało się modne po 1945 roku). Z kolei historia narodowa, która wypiera się własnych osiągnięć i wciąż przeprasza za prawdziwe i domniemane winy, a ostatecznie za to, że dany naród w ogóle ośmiela się zajmować miejsce pod słońcem, jest historią chorą i jak każda choroba, albo doprowadzi do śmierci pacjenta, albo do ozdrowieńczego przesilenia. Takie przesilenie może być jednak groźne, gdyby patriotyzm ponizanego narodu przeobraził się w nacjonalizm.

Aby uniknąć tych niebezpieczeństw, postaram się iść środkiem drogi: nieraz wypuszczę trochę powietrza z naszego polskiego balonu (za co dostanie mi się od jednych), innym razem zaprotestuję przeciw podważaniu należytym nam narodowej dumy (co wzbudzi nieufność drugich). Ale taki jest los poszukiwaczy prawdy. Nie zapisują się do żadnej partii i w spornych sytuacjach siedzą okrakiem na barykadzie. A do takich frajerów strzelają z obu stron.

Chyba bez przerwy będę na tej barykadzie siedział, gdyż planuję podjąć głównie tematy polemiczne. Nie zamierzam prezentować ciągłego wykładu dziejów Polski. Nie ma po prostu na to miejsca. I nie chce mi się tego robić: jest to sprzeczne z naturą dygresji. Idealny (Wirtualny) Słuchacz mojej gawędy powinien znać historię Polski na elementarnym poziomie, a moje uwagi traktować jako uzupełnienia dla koneserów. Jeżeli jednak dany Słuchacz lub Czytelnik nie tolerował bezpośredniego kontaktu z podręcznikiem do historii? Też zachęcam do udziału w naszej wyprawie. Dzieje Polski będą dla nas krainą do odkrycia, będą właśnie światem ze wzgórzami i dolinami. Wdrapiemy się na trzy wzgórza, z których otwierają się panoramiczne perspektywy. Z pierwszego punktu widokowego dostrzeżemy zamglone i słabo widoczne z powodu oddalenia zarysy tego, co było dawno. Dowiemy się, skąd przychodzimy, jaki bagaż dźwigamy na plecach (czy nam się to podoba, czy nie), gdzie było nasze początkowe miejsce na ziemi. Drugi punkt widokowy pozwoli nam obserwo-

wać, jak w międzyczasie, między starymi a nowymi laty, stawaliśmy się nowoczesnym narodem. Wreszcie dotrzemy na taras widokowy, na którym sami będziemy nieodwołanie przebywać aż do śmierci. Jest to nasze „teraz”, jest to miejsce, gdzie sami występujemy na scenie świata, w dramacie zatytułowanym „nasze życie”. Może zagramy naszą rolę lepiej, jeżeli będziemy świadomi tego, co zaprezentowali nasi poprzednicy?